



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Jeśli wogóle wszelkie zapasy o palmę pierwszeństwa mają za sobą wiele racyi bytu, jako pobudzające energią i koncentrujące w pewnym oznaczonym mniej więcej kierunku rozstrzeloną zazwyczaj myśl i działalność jednostek, to zwłaszcza środek ten, stosowany obecnie, coraz częściej w dziedzinie literacko-artystycznej, nieraz już dowiódł swojego pożytku. Z zapasów takich, obok niezbędnych odpadków, wychodzą po większej części rzeczy dobre i trwałe, jakby na dowód, że i ów szlachetnej rasy olimpijski rumak, który dla Greków był uosobieniem poetyckiej twórczości, potrzebuje czasem ostrogi i szpicruty.

Niegdyś za ostrogę taką starczył wieniec z wawrzynu; później, za czasów cyganeryi, gdy wienców nie miał kto dawać, a płacić nie chciano, ostrogą bywał smutnej pamięci—kieliszek wódki; obecnie stanowi ją nadzieja pozyskania nagrody pieniężnej, jako bardzo na dzisiejsze czasy miłego dodatku do sławy, która zresztą jest tak dobrą, iż sama już spływa na laureata odnoszącego zwycięstwo... Wprawdzie z okazji takiej krzyknął niezbyt dawno jeden ze starszych pieśniarzy, iż „poezya poszła na targowisko”—nie dowiódł tem jednak wcale, aby miał racją. Inaczej być nie mogło. Podbudzający nektar cyganeryi musiał wyjść z użycia; przekonano nas bowiem, iż głównym warunkiem naszej dalszej egzystencji ma być trzeźwość i tylko trzeźwość; wieniec laurowym nie odznaczyłby dziś nikogo, bo i najślawniejszą głowę trzeba kryć pod kapeluszem: pozostała więc tylko owa nagroda, spłacana w tej lub owej formie przez publiczność,

odgrywającą w tym razie rolę dawnych mecenasów sztuk wyzwolonych.

Słusznie więc owe „targowiska“ mnożą się u nas ciągle pod nazwą konkursów. Mieliśmy niedawno konkurs na typ dziewicy polskiej, później konkurs na chorał w Towarzystwie Muzycznym, obecnie toczą się prace nad rozstrzygnięciem konkursu dramatycznego (imienia Wojciecha Bogusławskiego), który aż 72 współzawodników do szranek powołał, a nakoniec „Tygodnik Ilustrowany“ ogłasza świeżo nowe zapasy.

Idzie tym razem o napisanie nowelki od 600—1000 wierszy objętości i poematu o kobiecie, który ma skreślić również kobieta, a rozpisać się może na przestrzeni 200-tu najwyżej wierszy. Oryginalną zaś stroną tego konkursu jest powołanie na sędziów całego ogółu czytelników wspomnianego pisma; Redakcyja bowiem ograniczy swą działalność tylko na wybraniu trzech najlepszych nowelek i trzech z nadesłanych poematów, „Tygodnik“ je wydrukuje, a publiczność głosować będzie kartkami za przyznaniem nagród w sumie 150 rs. za nowelkę i 75 rs. za poemacik.

Nie ulega wątpliwości, że i temu konkursowi nie braknie zapasników. Jeżeli zaś naprzód można się spodziewać, że w rzędzie nowelistów staną i niepowołani, co-to naśladując „Janka muzykanta“ pisać będą o chłopcach, którym zachciewało się „złoty zegarek“, jak tamtemu zachciewało się „skrzypek“—to natomiast każdą myślącą głowę zainteresować musi pytanie: co też kobiety o sobie powiedzą, czego domagać się będą, na co się poskarżą lub nad czem zapłaczą?...

A zatem: *aux armes, les belles citoyennes!*

* * *

Z konkursu też wyszedł plan budowy świeżo wzniesionego w Lublinie nowego teatru, którego uroczyste otwarcie naznaczone właśnie zostało

na nadchodzącą sobotę 6-go Lutego. Plan ten pomysłu inżyniera Kozłowskiego (uwieńczony pierwszą nagrodą), daje Lublinowi teatr bezwarunkowo pierwszy w rzędzie prowincjonalnych, a pod względem zastosowania wszelkich możliwych ulepszeń i najświeższych wynalazków wspanialszy nawet od warszawskich przybytków Talii i Melpomeny. Widownia, zbudowana na 750 widzów, o trzech piętrach, ozdobioną została wewnątrz, miast malowideł pstrokatek, pięknymi płaskorzeźbami i wogóle świetnie się przedstawia. Do teatru wiedzie troje schodów oprócz osobnego wejścia dla galeryi—cały zaś gmach, mający kształt ściętego trójkąta, został zewnątrz gustownie przybrany i stanowić będzie prawdziwą ozdobę tego pamiątkowego grodu. Na otwarcie wybiera się sporo osób z Warszawy, przedewszystkiem zaś zarezerwowano miejsca dla prassy tutejszej, która teraz już słusznie wita z całą zyczliwością nowy teatr lubelski.

A kiedy już mowa o konkursach, warto zaznaczyć pomysł, z jakim w tych czasach wystąpił Bolesław Prus w jednej ze swych kronik. Mówił on tam również o konkursie, który lubo z Parnasem nic nie ma wspólnego, to jednak mógłby się stać niemniej ważnym i pożytecznym.

Komuż bowiem nie wiadomo, że w Warszawie daje się już od dłuższego czasu uczuwać przedludnienie między rzemieślnikami, którzy o robotę dobijając się muszą i wydierać ją sobie wzajemnie? Tymczasem w małych miasteczkach dzieje się wprost przeciwnie. Ręk do pracy tam mało wogóle, a porządnego rzemieślnika, nie partacza, ze świecą trzeba szukać i często się zdarza że stolarz, cieśla i tapicer połączeni są w jednej jedynej osobie, a ślusarz, kowal i blacharz w drugiej. Skutki bardzo proste: żadna robota nie może być dokładnie wykonaną, a takie przedmioty, jako obuwie lub ubranie, z Warszawy (t. j. dobrze zrobione) należą do osobliwości.

Nie więc naturalniejszego, że poczęto nawoływać rzemieślników tutejszych do osiedlania się po małych miasteczkach, gdzie istotnie czeka ich niezły zarobek. Ten i ów chętnie też ucha tym głosom podaje, ale na przeniesienie się takie (zwłaszcza, gdy jest żona i dziecko) o fundusz nie łatwo, szczególnie, gdy się nie robiło żadnych oszczędności.

Otóż Prus, w ulubionej przez siebie formie humorystycznej (list szewczyka), rzuca myśl urządzenia rodzaju konkursu z nagrodami po 100, 75 lub 50 rubli, za najlepsze i najszybsze wykonanie np. pary obuwia, jakiejś sztuki ubrania, jakiegoś sprzętu i t. p. Naturalnie konkurs niech się odbywa publicznie, w obranej na ten cel sali, odpowiednio dla każdego rzemiosła rozgraniczonej. Wstęp za biletami płatniemi. Licząc zaś na znaną ciekawość Warszawian, oraz na poważniej przez wielu traktowaną zasadę obznajamiania się ze wszystkim, co ludzkie, spodziewać-by się istotnie należało, że widzów konkursowi temu nie brakłoby wcale, a tym sposobem z opłat zbierałaby się potrzeba na nagrody summa, zwycięzca zaś konkursowy obowiązany by był do osiedlenia się w jednym z małych miasteczek.

Tak się przedstawia ów zdrowy w gruncie projekt po wyluszkwieniu go z owej humorystycznej formy. Być może, iż właśnie forma ta odstręczyła odeń myślącą część ogółu naszego, w każdym zaś razie dziwić się należy, iż pomysł ten przeszedł bez echa i nie został poparty przez żaden z naszych dzienników, a zwłaszcza, że nie przygarnęło go do siebie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, pod którego adresem był on wystosowany. Byłoby to wcale właściwe dla tej instytucji zajęcie, wcale nie gorsze od teoretycznych, żadnego plonu nieprzynoszących rozpraw, jakie się w tem towarzystwie, w kilku jego sekcyjach, toczą co tydzień, a czasem dwa i trzy razy w jednym tygodniu.

* * *

Warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, powitane przez ogół z niezmierną radością, nie zaznaczyło dotąd swego żywota żadnym dodatnim skończonym czynem, a nato miast całą swą działalność, od czasu swego otwarcia, aż po dzień dzisiejszy, zamknęło w ciasnym kole ustawicznych starań o podwyższenie cła od różnych przedmiotów.

Protekcja celna — poza tem nic i nic: tak już od całych dwóch lat. Wniosek niezadający podwyższenia jakiego cła specjalnego — to istny kruk biały obrad towarzystwa. Ta celna polityka stała się już nawet jakąś manią, jakimś obłędem czemś, co wkrótce — *excusez le mot* — stanie się śmieszem. Pan A. proponuje podwyższenie cła od sprowadzanych z zagranicy... pudełek aptekarskich wyrabianych z taśmy drzewnej. Toczą się rozprawy przez dwie godziny, po to, aby ostatecznie uznano, iż jest to zbyt drobny szczegół, i wniosek upada. Zaraz po panu A. wstaje p. B. i wnosi podwyższenie cła od jakiegoś specjalnego gatunku cegiełek budowlanych. Znowu gorące rozprawy — i po godzinie okazuje się, że produkt ten nie da się dotąd na miejscu wyrabiać a cegieł i przy dzisiejszem ocleniu zbyt mało wogóle przywozi się z zagranicy. Tożsamo robi pan C., po nim pan D., następnie p. E. i tak dalej.

Aby zaś nie posadził nas ktoś o gołosłowność zarzutów, prosimy wziąć np. protokół z posiedzenia w dniu 18 Stycznia r. b., a znajdzie się to, cośmy opisali dosłownie, tylko z całemi nazwiskami wnioskodawców i z *trzykrotnem* powierzeniem ważniejszych spraw kabalistycznej *inicyatywie prywatnej!*... A co robi główny oddział z nadsyłanemi mu ztąd wnioskami wielorakich żądań zwiększenia cła? Oto, jak dowiódł „Kraj“, nie przeczytał z nich dotąd nawet dziesiątej części...

Utinam falsus vates sim!... A jednak dalsza tego rodzaju czynność a raczej mozolna beczynność towarzystwa wspomnianego, musi nakoniec zniechęcić ku niemu nawet najzagorzalszych jego zwolenników — musi otworzyć oczy prassie tutejszej, która dotąd z (wyjątkiem „Słowa“, śmielej cokolwiek z krytyką występującego), pokrywa w spra-

wzdaniach swych pustemi frazesami niezbyt płodne rozprawy posiedzeń sekcyjnych. Jak zaś posunięta do ostateczności protekcyjność celna stałaby się w rezultacie grobem dla przemysłu krajowego, bo zasklepiłaby go w nieruchomości i zaniedbaniu — tak nadużycie w szafowaniu jednemi i temsamemi hasłami może się stać grobem Towarzystwa, po którym sobie u nas tak wiele obiecywano.

Ale czas jeszcze się ocknąć — dlatego z ochotą powtórzę: obym był fałszywym prorokiem!..

* * *

Że zaś zmartwychwstanie, nawet z ruiny, nie jest niemożliwem, dowiodło tego i dowodzi ciągle powoli, lecz stopniowo, nasze Towarzystwo Muzyczne, które w ostatnich czasach, po długich dniach wewnętrznych niesnasek, zabrało się bardzo gorliwie do pracy. Wystawiło ono przy pomocy własnego chóru, w ciągu niespełna trzech miesięcy, dwa tak wielkie rozmiarami utwory, jak „Rycerz z Toggenburga“ i „Witolorauda“ (Moniuszki), postanowiło przyciągać i przyciąga istotnie dla swoich środowych wieczorów każdą wybitniejszą siłę muzyczną, pojawiającą się z jakichbyś powodów na bruku warszawskim, a nakoniec w ubiegłą Środę zaprezentowało publiczności poraz pierwszy własną swoją amatorską orkiestrę.

Mysł utworzenia tej orkiestry została widocznie rzucona w jakąś szczęśliwą godzinę! Bo oto zgłosiło się natychmiast do towarzystwa sporo amatorów, uprawiających w skrytości muzykę, a uczono się tak pilnie, iż we dwa niespełna miesięce występ publiczny okazał się możliwym i popis, jak na początek, wypadł zgoła zadawalniająco. Orkiestra, złożona z 50-ciu osób (w tem 35 skrzypiec, 5 kontrabasów, reszta dętych instrumentów) trzymała się dobrze, poddawała się kornie batucie dyrektorskiej i wykonała parę trudnych utworów, z zupełnem prawie zrozumieniem subtelniejszych nawet intencji kompozytorów. Że zaś przy tej ruchliwości towarzystwa, na środowych wieczorach miejsca wolnego znaleźć niepodobna — o tem nadmieniac byłoby zbyt nieuczynie. A takie uznanie zachęci zapewne dyrekcją do wytrwania i dalszych postępów i pozwoli zczasem przywrócić tę sympatyczną instytucją do jej dawniejszej świetności.

Niemniej powinniśmy pragnąć powodzenia przychodzącej właśnie do skutku kassy pomocy adwokatów tutejszych, o którą korporacja ta od dawna kołatała. Ustawa nowej kassy, jak się tego po adwokackim stanie należało spodziewać, została w oryginalny i umiejętny sposób opracowaną. Przedewszystkiem główne kierownictwo powierzono komitetowi, a rolę prezesa, tak pożądaną dla niektórych ambicyjek w innych podobnych stowarzyszeniach, nader ściśle ograniczono. Nadto kassa, oprócz zwykłych zadań, jak: nie sienie pomocy wdowom, sierotom i podupadłym członkom, będzie mieć jeszcze i pewien etyczny cel, a to dzięki jednemu z paragrafów, który nader surowo nakazuje przestrzegać kwestyi wykluczania lub nieprzyjmowania członka, nieprzedstawiającego odpowiednich kwalifikacji moralnych. Wobec upowszechniających się narzekania na rozluźnienie poczucia tego, co uchodzi lub nie uchodzi między naszą palestrą, klauzulę tę uważać należy istotnie za bardzo pożądaną i mogącą przynieść wielce dodatnie rezultaty. Z rzędu inteligentniejszych pozostaje jeszcze jeden stan — literacko-artystyczny, który kassy podobnej bardzo-by potrzebował, a także z podobną klauzulą. Ale to będzie jeszcze zapewne długo „po-bożnem życzeniem.“

A przecież niektóre takie życzenia spełniają się czasem i to nadspodziewanie. Oto kilka rozważnych słów prassy wystarczyło niedawno, aby występy „drogiej“ Patti na scenie warszawskiej nie przysły do skutku, za co się nawet dostała ze strony gazet francuzkich pochwała „rozsądkowi“ publiczności tutejszej. Na miejsce podstarzałej *divy* przybyło w tych dniach do nas „tańsze“ znacznie towarzystwo dramatyczno-śpiewackie francuzkie, pod imprezą pp. Lassale i Dieu-donné. Wszystko, czem trupa ta mogła nas za-

interessować i uraczyć, streszczał w sobie pierwszy z wymienionych dyrektorów, barytonista Lassale. Jest to istotnie śpiewak niepospolitych zalet, o głosie przeslicznym, pełnym, metalicznego dźwięku, z którym łączy wysoką umiejętność śpiewu oraz grę aktorską wstrząsającą do głębi. Otoczenie nie dorosło mu do pięt nawet, dlatego artysta słusznie uczynił, postanawiając z wiosną, po ukończeniu szybkiej wędrówki naokół Europy, powrócić do nas, ale już sam jeden, na występy gościnne w tutejszej operze.

Pozwólcie mi pięknym faktem zakończyć dzisiejszą pogawędkę. Chcę mówić postępkowi niejakiego pana G., obywatela z prowincyi, który wydając w tych dniach za żonę swoją chrześną córkę, uczynił jej nader oryginalny podarunek ślubny. Oto nadesłał kilkanaście tysięcy na ręce jednego z księgarzy tutejszych, polecając skompletować za te pieniądze bibliotekę z nowszych dzieł polskich różnej treści, wszystkie książki oprawić i odesłać sobie na wieś w ciągu dwóch tygodni na termin oznaczonego ślubu. Bodajto na kamieniach rodzili się tacy ojcowie chrzestni, zwłaszcza w obecnych, ciężkich dla naszego piśmiennictwa i księgarstwa czasach!

Historia wypadku tego, nie mówi: jak panna młoda powitała ów podarunek; czy żywe brylanty słowa polskiego nie ucieszyły jej tak, jak wiele z jej koleżanek cieszą błyszczące drogie kamienie?...

Na to już jednak odpowiedźcie wy, czytelniczki.

CIEŻKIE CZASY.

(Dokończenie).

Towarzyskość — wzajemne między sobą ludzi obcowanie, więc widywanie się, odwiedzanie, idąca zatem wymiana myśli i uczuć, jest człowiekowi taką potrzebą duchową, jak fizycznie potrzebuje on powietrza, aby oddychał. Z tego-to przecież cywilizacya wynika; ze ścierania się pojęć i przekonań, z oddziaływania na siebie umysłów, udzielania sobie spostrzeżeń, wiadomości, wychodzi człowiek oświecony, człowiek oglądony, któremu oszlifowały się surowe kanty jednostronności i samowoli, który podparł się wiedzą innych, i mimo odrębności swej indywidualnej do innych sobie podobnych istot przystosował się przecież. Człowiek przeznaczony jest do takiego, doskonalącego się coraz istnienia w społeczeństwie; nosi też w piersi wrodzone pragnienie szerszego, niżeli w rodzinie obcowania z ludźmi, i nawet plemiona dzikie, gdzie się je tylko odkrywa, mają pewne dnie uroczystości i zbierania się w gromadę, która zawsze i wszędzie jest tem, co Rusin przez głęboko pomyślane wyrażenie określa: *wielki człowiek!* Myśl zbiorowa wielu jednostek, uczucie z uderzenia wielu serc powstałe, składają się na tego „wielkiego człowieka“, który dzieje tworzy, i drogi postępu toruje, myśli w nauce, wzrusza się i zachwyca w sztuce, porywa się naprzód za rzuconemi przed siebie ideałami prawdy, dobra i piękna. Więc też nie przeciw towarzyskości naszej odzywają się te głosy, które wyrzucają nam nie od dzisiaj naszą lekkomyślną chęć zabawy, ale to, że towarzyskość nasza i zwykle łącząca się z nią zabawa jest płochą, jest kosztowną, że prędko staje się zbytkiem i hulanką, że pracę dezorganizuje i owoce jej pochłania, że w klasach pewnych zdaje się być i jest nawet celem i podstawą życia.

Zabawa miejsce swoje w życiu ma, ale powinna iść po pracy i nie przerywać jej, nie stawać się przeszkodą w jej obowiązkach i tych drugich, które często zabawie poświęconemi zostają, — w obowiązkach życia rodzinnego, życia u domowego ogniska, które jest pierwszym gruntem człowieka. Kto, naprzykład, w nocy się bawi, nie wstanie rano do pracy zdrowy i ochoczy, z myślą jasną i pogodną, zarówno, jak ten ktoś inny, który tylko popańsku bawić się umie, nie bierze się ochotnie do pracy, nakazującej mu schylać

możno barki pod ciężary twarde i czoło sobie znoić powszedniego życia pospolitemi trudami. Gdy człowiek niezamożny dla chwil zabawy paradnych cugów używa, gdy się na nie stroi w wykwintnie arystokratyczne suknie, z uczuciem przymusu i wstrętu odziewa się nazajutrz w kubrak prosty, z uczuciem przymusu i wstrętu po błocie pieszo chodzi, i widzenie pańskości, znikłej jak sen wśród pracowitej powszedniości życia, pokutuje w nim potem — przeszkadza mu, jak złe widmo przeszłości w domu starym.

Zabawa pewną święteczność posiadać musi, bo jest to jej cecha konieczna i może pierwiastek zasadniczy, aby zabawą była. Jak człowiek bez chleba nie wyżyje, tak również nie wyżyje on chlebem samym i jakaś domieszka ideału potrzebuje mu realność życia złocić, ale niemniej pomiędzy temi dwoma biegunami istnienia naszego musi być utrzymaną harmonia pewna, bo inaczej wprowadzimy sobie w życie nieład i rozstrój. Albo zabawa jako przywłaszczycielka względem pracy się postawi i za wiele istoty naszej na swoją stronę przeciągnie, jeżeli nie przez czas, zabranej sobie, to przez pożądania i tęsknoty, które za nią w piersi wzdychać będą, myśl od obowiązków pracy odrywając — albo wobec takiego niebezpieczeństwa, przez rozum dostrzeżonego, praca z surowymi swemi nakazami zapanuje jedynie, czyniąc życie posepnem, bez lżejszego dla piersi oddechu.

Na zgodnym łądnie wszystkich życia czynników polega życia tego szczęście i cnota. Człowiek niezamożny, tak jak niezamożne, ubogie społeczeństwo, nie może bawić się zbyt kownie, i hucnie, nie może bawić się ustawicznie, bo wkrótce wcale się bawić przestanie i usuwając pod siłą konieczności wszystkie umilające życie rozrywki pędzić będzie istnienie ciężkie i smutne, odosobnione, bez oparcia ducha o duchy bratnie, bez przyjaznych rąk uścisku i serc zbliżenia, co przecież daje życiu ogrzewające je ciepło. Narody obdarzone większą siłą wyobraźni i fantazyi, większą żywością w uczuciu, stan taki znoszą trudniej i gorzej. My należymy właśnie do takich, i potrzeba towarzyskości jest duchową potrzebą naszą, co wcale złem nie jest, jeżeli damy rozumny i szlachetny kierunek tej właściwości natury naszej. Gdy raz oszczędność i skromność zostaną u nas uznane za wyraz cnoty obywatelskiej, gdy raz przez zmienione rzeczy pojęcie one, a nie zbytek i wystawność, chlubę przynosić zaczną, gdy postanowimy, że tylko święteczne dni odpoczynku mogą być przyjemnościom rozrywki oddane — stonki ułożą się dobrze i wdzięcznie, bez krzywdy dla obowiązków pracowitego istnienia i nie przytłoczy nas gnębiące uczucie osamotnienia, zamknięcie się z powszednią swą troską jedynie. Potrzeba jest ludziom poufnej rozmowy, która odwała z piersi kamień gniozącej je nędzy, potrzeba narady nad wspólnych interesów biegiem, potrzeba przyjaznych między sobą związków, potrzeba wreszcie młodem sercem kochać i wzajemności pragnąć. Aby miłość oprzeć się mogła na wyższym, świętszym pierwiastku nad upodobanie dla lic mniej, więcej gładkich, aby, idąc „za tym wdziękiem, co kochać przymusza“ dusza pokochała się w duszy — potrzeba młodym spotykania się ze sobą, poznawania się głębszego, wydobycia sobie z piersi tych magnetycznych prądów sympatyi tkliwej, bez której źle się ludzie łączą ze sobą na związek całego życia. Nie mówiąc już o poniżających małżeństwach, zawierających się na zasadzie liczb majątkowych, coż gdy poza tem krótkotrwałem, z natury rzeczy przejściowem uczuciem upodobania pięknych kształtów, to dwoje ludzi, którzy sobie być mają *pryjaciółmi dożgonnymi*, jak stary nasz język szlachetnie małżonków nazywa — nie znajdują duszy, któraby duszy odpowiadała?

Aby małżeństwa zawierały się z wyboru serc i na podstawie pokrewieństwa duchów, aby rodziny mogły być „stowarzyszeniem do szczęścia“ trzeba dać młodym możliwość zbliżenia się do siebie, poznania się i pokochania innego, niż oczów, innego pociągu, niż mniej albo więcej korzystna współka pieniężna. Względ to tak ważny w moralnych i społecznych swych konsekwencyach, że gdyby nawet nie szedł w parze z wielu innymi,

wystarczyłyby już jako powód, aby rozumna i na żywotne nasze interesa tkliwa oszczędność, rugowała zbytek i wystawność pyszną, a nie towarzyskość. Towarzystwo, gdy jest urządzona ze względem na godziwe skłonności natury ludzkiej, gdy zaspakaja szlachetne potrzeby sercu i umysłom — oddaje usługi wielkie. Jest ona kanałem dla ożywego krążenia myśli i stanowi łącznik dla uczucia, które rozszerza i nie daje ludziom zapaść w ciasny egoizm, zamknąć się w ograniczonym kole spraw i interesów własnych, opinii wyrabiać się pozwala i przez tę strony swoje ma coś przymiotów reprezentacji społecznej, coś zastępujących ją mocy — ludzi jednocy i moralną karność nad nimi sprawuje.

Dla tych wszystkich przymiotów towarzyskości dla tych wszystkich moralnych towarzyskości wyników, uważam za rzecz bardzo dla ogółu naszego szkodliwą zastępowanie zebrani domowych przez zebrania publiczne, co zaczyna u nas wchodzić w modę, jakoby na skutek oszczędnych chęci bawienia się mniej kosztownie. Tak, jest to mniej kosztowne dla zbytujących: dla tych, którzy przyjmując u siebie ludzi, chcą przedewszystkiem wystąpić i nie przyjemnej towarzyskiej rozrywki użyć, ale przedewszystkiem pyszną próżność zadowolnić: roztoczoną wystawnością oczy ludzkie i swoje napaść i to sobie za uciechę mieć, że było paradnie, co przypomina mi zawsze historią przysłowia o tych butach czerwonych, które zblizka i zdaleka mówiły: „Znaj pana po cholewach!“ Ale zebrania domowe z cechą inną i z celami innych przyjemności, zebrania które inny, wdzięczniejszy, miłszy duch ożywia, nie dadzą się nigdy publicznymi zastąpić, bo nie może tam być tego, co jest takich zgromadzeń częścią najlepszą i istnienia ich pierwszym powodem — przyjaznego ludzi z ludźmi zetknięcia. Co może dać bal publiczny, i czego się też na nim szuka? Albo się osobę swoją i swoje stroje wystawia na pokaz wielkiej liczby podziwiających je spojrzeń i wtem znajduje się zadowolenie czy miłości własnej, czy zalotności, które nęci pragnie; albo popycha nas tam młodzieńcza chęć wytańcowania się do syta. Poza tem zebrania publiczne nie mają, bo nie mogą mieć, nic więcej...

Albo muszą mieć to znowu, co pewne duchowo delikatniejsze organizacje przykro dotknąć może. Na zebraniach publicznych już sobie nikt chyba nie powie. — Towarzystwo moje było doborowe! laborowe nie pod względem strojnych sukien, mniej więcej eleganckich manier, mniej więcej zręcznego ślizgania się po woskowanej posadzce. Musi tam być i jest zawsze różnorodność, pstry amalgamat ludzki i nasze ja masi się z nią zmieszać, złączyć, zespolić — tańcować po muzyce jednej i ręką w rękę z każdym, kto do nas dłoń wyciągnie.

Trzeba każdą wziąć, przed żadną cofnąć się nie można, z każdym tancerzem iść w płąs, jak z druhem dobrym!

W teatrze, na koncercie to wcale co innego. Kupiłem sobie miejsce moje i zajmuję je, do mnie samego nikt niema prawa, moja osoba z nikim we wspólność żadną nie wchodzi — z nikim do pary nie staje! Ale na bal, na wieczór tańczący, przychodzę bawić się ze wszystkimi, których tam znajduję: od pierwszej do ostatniej osoby, wszystko to drużyna moja!

Kto w imię oszczędności zebrania domowe na publiczne zamieniać chce, złą zasadą się rządzi. Wszystko to, co w zabawie jest stroną dodatnią, co zabawę udochowia, co jej jakieś ciepło daje — znika tu w zupełności. Kobieta szczególniej ma tu rolę przykrą i mamy w poezyi naszej głos, który ją o tem ostrzeża.

Oszczędność, aby była spełnianą dobrze, aby była cnotą i stawała się zasługą, musi być rozumną i myślącą, a z ogólną ekonomią życia tak się łączyć, aby dla środków nie zapomniała o celu. Pieniądz, tak jak to nasze istnienie na ziemi, nie może być oszczędzany kosztem tego, co wagę i wartość jego stanowi, i ztąd oszczędność ulega pewnym obowiązkom i ma wyznaczone sobie granice, które bezwzględności nie dopuszczają. Jak nie może przeciwstawić się ona chrześcijańskim pojęciom ludzkości i cnotie miłosierdzia, tak nie może, nie powinna przeczyć cnotie

obywatelskiego poczucia się w powszechności swojej, i zwalniać ludzi od pewnego podatku, pewnego wkładu na rzecz pożytków ogólnych, które w naturalnej konsekwencji swojej są i naszymi własnymi pożytkami. Nauka, literatura, sztuka swojska, ma prawo żądać od najoszczędniejszego człowieka jakiegoś grosza, choćby wdowiego szelągka, wrzucanego do skarbony ogólnej, i ten najoszczędniejszy, jeżeliby się zachwiał się w poczuciu powinności owej, niech jako criterium postępowania swego postawi pytanie: — Coby było, gdy wszyscy czynili tak, jak on?

Gdyby w imię zachowawczej o mienie swojej troski nikt się nie poczuwał do obowiązku podtrzymywania cywilizacyjnego rozwoju, cywilizacyjnego postępu swego społeczeństwa i idei jego, cały nasz dorobek zmarniałby i przepadł, rodzice nie oddaliby dzieciom tego, co jako przekaz dla przyszłości, od przeszłości otrzymali. Nie my tylko znoimy się i wysilamy w walce życia: *ciężkie czasy* nie za nas dopiero dla ludzkości nastąpiły i te słowa Chrystusowe: — Każdy dzień ma dość nędzy swojej... brzmią dla człowieka przez wieki. Jak niegdyś krudowano leśniste puszcze, jak od dzikiego zwierza, od hordy tatarskiej oszczep i samopał w pogotowiu trzymano, tak my zastawiamy się losowym klęskom naszej doby czasu, a rozłożenie obowiązku na jednostki nie zmienia się, bo zmienić się nie może póty, póki społeczności ludzkie na ziemskim tym świecie istnieć będą. Francuz ma na wyrażenie tej myśli dwie piękne maxymy stare: — „Chacun a sa place, et Dieu au dessus des tous“ „Faites que dois, advenies que pourra.“ My możemy to przełożyć razem przez ten dwuwiersz Brodzińskiego:

„Czyni każdy w kółku swoim, co każe Duch Boży,
A całość sama się złoży...“

M. Iluska.

ULOTNE STROFY

(Przekład z niemieckiego oryginału Heleny Grabowskiej von Götzendorf).

Bez steru.

Po morza wzburzonej toni
Łódeczka bez steru płynie;
Wkoło się piętrzą bałwany
I grożą biednej, że zginie. —
A nie wie w której port stronie,
W ciemnościach nie widać drogi;
Mewa krążąca gdzieś w górze,
Wydaje krzyk swój złowrogi.
Lecz jeżeli żeglarka w łodzi
Ku niebu podniesie oko,
To może gwiazdę ratunku
Ujrzy tam kędyś wysoko...

Niezapominajka.

W rodzinnej ziemi mej matki
Kwiateczki po lasach kwitną,
Jam sobie jeden zerwała
Z barwą jak niebo błękitną. —
Jest to kwiateczek pamięci,
Zapomnieć nie mam też mocy;
Coś mnie tam woła i nęci,
Ze snu przebudza wśród nocy.
Lecz tak daleko! daleko!
Że nie dobiegnę nieboga...
Za górą, lasem i rzeką,
A pusta, rozstajna droga!

Noc księżycowa.

Podobno w noc księżycową
Wracają na ziemię duchy:
Po srebrnej łunie spływają,
Wiatrów je niosą podmuchy. —
I matka do swej sieroty
Przychodzi wśród nocnej ciszy,
Lecz ona biedna śpi twardo,
Nie widzi, ani nie słyszy. —
Ale się w sercu coś dzieje,
Kiedy przebudzi się zrana:
Wie, że na głowie jej śpiącej
Spoczęła ręka kochana.

M. I.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Sam nadzwyczaj pobożny i gorliwy w spełnianiu religijnych obowiązków Kościoła, musiał wysoko cenić biskupa, lecz Kazimierz był niemniej nabożnym, a z wielu względów na króla zdawał się lepiej niż on usposobionym.

Radziwiłł więc przybywał już do Warszawy z wyrobionem przekonaniem, iż jego popierać należało, a biskupa ubłagać, aby rzekł się kandydaty, głosów nie rozdawał i szybkiego nie utrudniał wyboru.

Pozostawało tylko widzenie się i narada z królową, którą ks. Albrecht nauczył się cenić i o której znaczeniu i wpływie wiedział lepiej od innych. Od pierwszego powitania na ziemi polskiej, pod Gdańskiem, Maryi Ludwiki Radziwiłł, który ją tu przyjmował i towarzyszył do Warszawy, miał zręczność zbliżenia się, pozyskania jej zaufania i zawiązania bliższych stosunków. I on i druga żona jego, Lubomirska z domu, stali najbliższymi Maryi Ludwiki. Natychmiast też po swem przybyciu do Warszawy, wprzód nawet nim pośpieszył do Jana Kazimierza, kanclerz pojechał do królowej, która na niego z niecierpliwością oczekiwała. Jemu jednemu może zwierzyć się całkiem mogła.

Gdy jej oznajmiono zrana o przybyciu kanclerza, królowa natychmiast pośpieszyła na pokój, nie wzywając z sobą nikogo, ani ks. de Fleury, ani żadnej z pań swoich. Łzy się jej polały przy powitaniu milczącym. Radziwiłł był też wzruszony. Położenie wdowy zarazem i straszliwy zamęt, jaki panował w Rzeczypospolitej zarówno go uspasabiałał, jak i wzruszał.

— N. Pani — odezwał się, całując pośladki rękę — jesteście wszyscy boleśnie dotknięci z woli Bożej... lecz o miłosierdziu Jego wątpić nie powinniśmy. Próbuje on i zsyła krzyże.

Nie mogła wytrzymać Marya Ludwika i puściła wodze żalom swoim.

— Sierotą pozostałam — rzekła — osamotniona, bez opieki. Mam-li tu pozostać, czy wracać tam, gdzie o mnie zapomniano... zerwać co z Polską łączyło... łączy... Sama nie wiem... Czekalam na was, radźcie mi...

— Przedewszystkiem — odezwał się Radziwiłł — nie czas jest coś stanowić, czekać potrzeba; a nie widzę dla czego byś w. król. mość kraj ten, który ją przybrał za panią, miała opuszczać? Pomimo najstraszniejszego położenia, w jakim się znajduje Rzeczpospolita, musi ona wszystkim swym zadość uczynić obowiązkom.

Tak rozpoczęła się rozmowa.

Królowa unikała w niej wspomnienia o kandydatach do korony, a bardziej jeszcze o swoim

usposobieniu względem nich, ale Radziwiłł nie miał powodu tajemnia się z przekonaniem.

— Pierwszą dziś rzeczą — odezwał się — zerwać siły do skutecznej obrony i wzięcia za srom doznany odwetu... ale niemniej pilną — wybór króla...

Królowa słuchała z nateżoną uwagą.

— Mamy, niestety, aż dwu kandydatów — ciągnął dalej kanclerz — gdy nam-by jednego mieć i natychmiast go okrzykiwać było najpożądanyszem... Szanuję wielce księcia Karola — dodał — lecz nie zdaje mi się, aby mi szczególnie na króla w zawichrzonym zdał się kraju.

Na twarzy Maryi Ludwiki, umiejącej panować nad sobą, nie dostrzegł kanclerz ani przyzwolenia, ni oporu. Słuchała go. napozór obojętna.

Kanclerz zawahał się nieco.

— Króla Szwedzkiego znam wszystkie przymioty i słabości — mówił dalej — ale ostatnie przypisuję więcej położeniu jego, niż charakterowi. Zarzucają mu nieśladość, ale dotąd nie znalazł się może we właściwym sobie i powołaniu położeniu... Zresztą... religijny, szlachetny, gdyby nawet był słabym, sądzę, że w wyborze doradców potrafi okazać swą cnotę...

Zamilkł nieco...

— Mości księżę — odezwała się cichym głosem królowa — jeżeli wasz głos jest za Królem Szwedzkim, nie wątpię, iż on za sobą większość pociągnie, będziecie jednak mieli niemałą trudność z księciem Karolem, który, jak słyszę, mocne ma postanowienie, nie wyrzec się kandydatury.

Łudzą go może powrotem... ja nie wiem... jak właściwie ocenić położenie i siły...

— Ja też czasu nie miałem jeszcze do lepszego zbadania go — mówił kanclerz. — Zdaje mi się wszakże, iż Król Szwedzki więcej mieć będzie za sobą, niż biskup, którego mało kto zna, bo nigdy dać poznać się nie starał...

Nastąpiło milczenie. Radziwiłł widocznie chciał jakiejś skazówki o usposobieniu królowej, która unikała zdradzenia się z myślą swoją.

Przy pierwszym tem spotkaniu Radziwiłł nie śmiał być ani na zbyt otwartym, ni na dno natarczywym w badaniu: nie wyjawiał całej swej myśli. W jego przekonaniu wybór Jana Kazimierza, miał być wsparty małżeństwem jego z Maryą Ludwiką. Energia jej, charakter, wytrwałość, przymioty, które w najniepomyślniejszych warunkach kanclerz widział, ujawniające się w Maryi Ludwice, miały teraz przyjść w pomoc słabości, chwiejnemu usposobieniu króla. Radziwiłł był pewien, że ona potrafi opanować mężem i poprowadzić go drogą najlepszą.

Pomyśl ten mógł spotkać opór ze strony Jana Kazimierza, może nawet królowej, lecz kanclerz nie uznawał go niemożliwym... i rachował na tę kombinację, która mu się zdawała najwięcej dla Rzeczypospolitej obiecującą...

Przeciągnęły się nieco opowiadania Radziwiłła, żale Maryi Ludwiki, i wzajemne wyrozumiewanie, które do niczego nie doprowadziło, oprócz tej pewności tylko, że księżę Albrecht Króla Szwedzkiego popierać będzie.

Wprost też od królowej udał się Radziwiłł do Jana Kazimierza, który wraz ze dworem wybierał się już do Nieporętu, gdzie przez czas sejmku elekcyjnego, stosując się do prawa, musiał pozostać.

Księżę Karol tak samo wybierał się do Jabłonnej.

Pokoje króla pełne były pomimo rannej jeszcze godziny. Przybywający senatorowie, szlachta znaczniejsza, a szczególnie duchowni... napływali. Ożywiony, roztargniony w dosyć dobrym usposobieniu, Król Szwedzki obracał się wśród tych gości, usiłując okazać się uprzejmym, co nie zawsze mu się powodziło. Ujrzawszy kanclerza, którego znaczenie umiał dobrze ocenić Kazimierz, ruszył się przeciwko niemu, z widomie rozjaśnionem obliczem.

— Nareszcie-śmy się was doczekali — zawołał. — Bardzośmy wam radzi! Witajcie. Brakło nie wiem, jak komu, ale mnie przynajmniej, rady waszej i otuchy.

Załamął ręce.

— Giniemy! — zawołał z boleścią... — Kozacy

pod Brześciem plądrują, mówią, że sąm Brześć wzięty spustoszony — klasztory, zakonnicy...

Nie dokończył król — milczeli wszyscy. Radziwiłł, który już wieść tę miał, ale wiary jej nie dawał, przerwał cicho:

— Są to tylko pogłoski, a że pogrom nasz — i tak już nieprawdopodobny, wszystko dziś możliwym czyni w oczach naszych, nie spieszymy wierzyć; kłamstw jest wiele, a trwoga wszystko zwiększa...

— Daj Boże, aby się to fałszem okazało — przerwał król, wprowadzając Radziwiłła za sobą, nieco dalej od tłumu gości.

Mości księżę, — szepnął żywo, na rany Pańskie, ja z wami na osobności mówić muszę...

— Kiedy? — zapytał kanclerz, który zarówno życzył sobie tej rozmowy.

— Natychmiast, gdyby można — przerwał Kazimierz — wieczorem najpóźniej. Zamknę drzwi wszystkim.

Radziwiłł odparł tylko ukłonem i zwrócili się obaj ku biskupom którzy świeżo z dyecezyi swych przybyli, o stanie kraju przywozili najświeższe wieści.

Wszystkie one zgodne były i wywołały z ust kanclerza wymowne zakończenie.

— Nasze grzechy stanowią ich siłę... nasza słabość jest ich potęgą!... Uderzmy się w piersi! Nie Kozacy i Tatarowie chłoszczą nas, ale Bóg, który poprawy żąda, lub zgnubą grozi. Wszyscyśmy wienni — i wszyscy pokutować musimy. Ofiar wymaga położenie: nie szczędźmy skruchy, żąda Bóg, kajajmy się, a zlituje się on nad nami...

Cichym szmerem wszyscy potakiwali kanclerzowi, lecz na ten ton kaznodziejski nastrojona rozmowa trwać nie mogła. Zwolna też goście jeden po drugim kłaniać się, żegnać i rozchodzić poczęli.

Sam nawet królewicz, któremu Tyzenhauz przyniósł kapelusz, rękawiczki, szpadę i płaszczyk, wybierał się także, mimo słoty, w odwiedziny przed odjazdem do Nieporętu.

Od śmierci Władysława IV, dotknięty nią najboleśniej marszałek koronny, Adam Kazanowski, który w nim utracił przyjaciela i brata, nie ukazywał się prawie między ludźmi. Głoszono go chorym i był nim wistocie. Węzeł, jaki od dzieciństwa łączył z sobą króla nieboszczyka i Adama Kazanowskiego, nie mógł się zerwać nagle, nie pozostawiając po sobie krwawej i bolesnej rany. Zgoić się ona nigdy już nie miała.

Dla Kazanowskiego Władysław był wszystkim, był jego życiem, tchnieniem, całą siłą, śmierć ta osierociła go najokrutniej. Zonaty i przywiązany do młodej, pięknej, jakby stworzonej dla siebie żony, bezdzietny, chociaż w niej miał pocieszyciela jedynego, nie czuł się jednak ani na chwilę pocieszonym i zobojętniałym. Naprózno starała się go rozerwać, odżywić, przywrócić mu ochotę do życia. Kazanowski wpadł w apatyę jakąś, w odrętwienie, które wprędce stało się groźną chorobą.

Nie wychodził prawie z domu, niechętnie przyjmował u siebie, nic nie zdawało się go obchodzić, a te straszliwe klęski, o których codziennie nadbiegały wieści, tak mu się stawały obojętnymi, jakby kraj i jego losy wcale go nie obchodziły.

Wszystkie starania żony i rodziny na ten stan poradzić nie mogły. Usiłowano go czemś rozerwać, wywieźć z tego zamknięcia w domu. Słuchał czasem nalegań żony, dał się prowadzić, ale w liczniejszym towarzystwie słowo zaledwie z niego dobyć było można.

Prawda, że w tym królewsko-wspaniałym pałacu swym, marszałek miał nieustannie na oczach same przeszłości wspomnienia. Wszystko, co miał, było darem nieboszczyka: jemu Kazanowski zawdzięczał bogactwa, znaczenie, urząd, stanowisko. Ściany też sal i pokojów okryte były obrazami tryumfów Władysława IV, jego wizerunkami i przypomnieniami.

Na każdym kroku marszałek spotykał się z tym nieboszczykiem, zdawał się go widzieć przed sobą, a rano budząc się potrzebował oprzytomnieć, aby oswoić się z tą myślą, że go już na świecie nie było...

Szeptał cicho:

— Pójdę za nim...

Żona ludziła się może jeszcze, ale rodzina, której lekarze nie obiecywali łatwego uzdrowienia marszałka, największym niepokojem była przejęta. Kazanowski nie miał potomstwa, a zostawiał po sobie fortunę ogromną, ruchomości, których szacunek wynosił miliony... Braci wszyscy pokrewni trwożyli się o przyszłe losy tego spadku, którym marszałek, pomimo zręcznych napomnień, wcale rozporządzać nie myślał. Ile razy mowa jakaś była o tem, poruszał ramionami obojętnie i spoglądał tylko na żonę.

Dorozumiewano się, że nieuniknionem było przekazanie jej wszystkiego.

Służniczka z domu, Elżbieta Kazanowska, pieszczona dziećmi możnego domu, zdawała się stworzoną na to, aby w złotem gnieździe ulubienca królewskiego panować; piękna, wychowana starannie, żywego temperamentu, nawykła do panowania nad temi, co ją otaczali, ubóstwiona Elżunia owdładnęła z łatwością starszym od siebie mężem, który całkiem jej był oddany. Zalotna, potrzebująca do życia nieustannej intrygi ruchu, zajęcia gorączkowego, hołdów, umiała tak szczęśliwie wzbudzić w mężu zaufanie, iż marszałek nigdy nie okazał cienia nieufności względem niej, zostawiając nieograniczoną w postępowaniu swobodę.

Była to jedna z młodych pań swojego czasu, które około siebie gromadziły największe koło wielbicieli i przyjaciół. Jakkolwiek takie nadskakiwanie kobiecie zamężnej nie było w polskim obyczaju i wiele poważniejszych niewiast raziko, Kazanowska nie zważała na to, a że mężowi hołdy jej składane raczej pochlebiali, niż mu się przykrzyły, mogła się zabawiać pani marszałkowska, jak chciała.

Pałac też ów wspaniały, cały tryb życia Kazanowskich za życia Władysława IV sprzyjały zabawianiu się pani i pana. Adam Kazanowski wyżyty i znudzony tak dobrze, jak ona, pragnął ciągle czegoś, coby w nim sztucznie gasnące życie rozbudzić mogło.

Nigdzie więc może w Warszawie więcej ruchu, muzyki, śpiewu i tańca, niż tu, nie było. Cudzoziemcy szczególnie tłumami napływali i nie mogli się odchwalić pańskiego, a pełnego czarów przyjęcia. W pierwszych czasach po przybyciu Maryi Ludwiki do kraju, położenie jej smutne zniechęcenie króla przedwczesne, zbliżyły panią marszałkową do królowej, której ona sama i przez męża starała się być pomocną. Stosunek ten jednak z królową, zamiast się stać coraz ściślej, z czasem odmienił zupełnie.

Spotwarzona na wstępie do Polski, królowa, musiała być surową dla siebie, dworu i tego, co z nim było w jakimkolwiek związku; Kazanowska dla Maryi Ludwiki, surowej i poważnej, była za płochą. Chłód pewien; potem coraz mniej częste zetknięcia, których unikano, doprowadziły do tego, że między marszałkową a królową tylko urzędowe, zimne, przymusowe pozostały stosunki.

Marszałkowi było to może na rękę, bo choć mu żal było królowej, nie potrzebował tłumaczyć się już z przyjaźni jej dla swej żony.

Od zgonu Władysława, Kazanowski zamknięty w domu, zobojętniał, równie, jak żona, raz tylko urzędownie powitawszy powracającą do Warszawy z ciałem nieboszczyka wdowę, więcej się do niej nie zbliżali.

Do spraw ogólnych kraju, jak dawniej, tak teraz, marszałek wcale się mieszać nie miał ochoty.

Słuchał opowiadań, poziewał, czasem ramionami poruszał, ale żywego udziału nie brał w niczem.

Jan Kazimierz zaraz po powrocie z Włoch zbliżył się do Kazanowskiego, który go z poszanowaniem, ale dosyć obojętnie przyjmował. Wielbiciel płci białej, ex-kardynał nie mógł pani marszałkowej Kazanowskiej widzieć i pozostać obojętnym, tak samo, jak piękna Elżusia wcale nie pięknego królewicza nie mogła puścić, nie po starawszy się, aby na nim wywarła toż samo wrażenie, jakie czyniła na innych.

Nie było nic łatwiejszego, nad obalamucenie Jana Kazimierza, który miał słabość do wszyst-

kich kobiet wogóle i w każdej z nich umiał jakiś szczególny wdzięk upatrzeć.

Królewicz został zachwycony... Płomyzek ten, zrazu małeńki, piękna Elżusia która na stronie wyśmiewała Jana Kazimierza, starała się rozdmuchać i utrzymać tak dobrze, iż Król Szwedzki liczył się teraz do najgorętszych jej wielbicieli i mógł nawet gorącością uczuć walczyć z panem Starostą Łomżyńskim Radziejowskim, który zdawna słynął ze swego rozkochania się rozpaczliwego w pięknej marszałkowej.

Śmierć Władysława, ogłoszenie kandydatury Jana Kazimierza, przepowiadana mu korona, naturalnie, ze strony marszałkowej zwiększyły uprzejmości dla króla, a rozkochanego pana przyciągnęły nanowo i przykuły do wozu pięknej Elżusi. Im marszałek Kazanowski więcej zaniedbywał swą przyszłość, wcale się nie mieszając do niczego, a Króla Szwedzkiego przyjmując z dawną obojętnością i chłodem, tem sama marszałkowa więcej się czuła w obowiązku przyszłego pana pozyskać.

Dla jej bowiem bystrego oka i niewieściego przeczucia nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że nie kto inny, tylko Jan Kazimierz wybranym zostanie. Chciała go wcześniej pozyskać dla męża i dla siebie..

Jan Kazimierz przed swym wyjazdem przymuszonym do Nieporętu stał się niemal codziennym gościem w Pałacu Kazanowskim.

Krzywił się może na to marszałek, który nie lubił go, ale nie sprzeciwiał się żonie, dowodzącej mu, że na wszelki wypadek króla sobie należało pozyskać.

Jan Kazimierz więc, wybierając się z Warszawy, jechał z pożegnaniem do Pałacu Kazanowskich. Nie spodziewano się go zapewne dnia tego, bo deszcz jesienny lał, jak z wiadra, i powietrze było najnieprzyjemniejsze, ale gdy oznajmiono przybycie, i marszałek i żona jego znaleźli się w antykamerze na przyjęcie.

Z galanterią podał Jan Kazimierz rękę pięknej Elżusi, uśmiechającej mu się wdzięcznie.

— Wypędzają mnie z Warszawy — rzekł dosyć wesoło. — Chciałem więc pożegnać moich przyjaciół, a do tych państwa zaliczam.

Skłonił się zimno pan Adam.

— Kto wie, z czem powrócę — dodał — na pewno z grochowym wiankiem. Rzeczpospolita mnie nie zechce, będzie wołała młodszego... kobieta jest...

— W. królewska mość sądzisz — wtrąciła Kazanowska — że kobiety tak bardzo młokosów cenią? My między nami wcale inaczej trzymamy i młodych gaszków zostawiamy starym babom...

Rozśmiał się Jan Kazimierz

— Spodziewam się — rzekł, zwracając do milczącego marszałka — że przez pamięć dla brata mego i życzliwość waszą dla rodziny naszej i dla mnie w szczególności, marszałek zechcesz wpływem swym...

Kazanowski szydersko trochę się uśmiechnął.

— N. Panie — rzekł cicho — ja najmniejszego nie mam wpływu, niestety, bom się nigdy o niego nie starał; lecz gdybym mógł mieć jaki... Nowy ukłon zakończył urwany tu frazes.

— Gdybym ja miała prawo wyjechać na Wole i pod szopę — wesoło wtrąciła pani Kazanowska — pierwsza-bym okrzyknęła nowego króla.

— Karola? — zapytał żartobliwie Kazimierz.

— A! nie — rozśmiała się piękna Elżbieta — nie godzi się przecie Panu Bogu go odbierać, gdy mu się raz poświęcił.

Z tego tonu żartobliwego Jan Kazimierz zeszedł na poważniejszy.

— Czynią mi nadzieję, że brat mój w ostatniej godzinie rozważy, iż się niepotrzebnie naraża na zawód — rzekł głosem niższym — ale... nie wierzę w to jeszcze. Nie miałem nigdy szczęścia w niczem, a dziś, przypuściwszy nawet, że to brzemię korony spadnie na mnie... w jakich czasach i jakich warunkach! Słyszycie, panie marszałku?

— A, N. Panie — odparł smutnie Kazanowski, przez cały dzień nie słyszemy o czem innym.

— Rozśmiać się człowiek boi teraz — wtrąciła piękna pani — aby nie być posądzonym o obojętność. A! co za czasy! co za czasy.

— Umarł w samą porę — dodał ponuro marszałek — aby na to nie patrzył.

— Ten niegodziwy chłop. Chmiel — poczał Jan Kazimierz — zuchwałstwo swe posuwa do tego stopnia, że nieboszczyka króla obwinia o podżegnięcie do tej wojny!

Kazanowski ruszył ramionami.

— N. Panie — odparł — na trumnę kamieniami i błotem rzucać bezkarnie można. Nie potrzebuje król Władysław obrońców.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BIAŁA RÓŻA

CZĘŚĆ II-ga

przez

Narcyzę Żmichowską.

(Dalszy ciąg).

— Twoja górą niech będzie, Urszulko! Więc od czegoż tu zacząć? Trzeba się chyba do przeszłości odwołać. Pamiętasz owe szaleństwa i marzenia bezcelne, kiedy w tajnikach mej wyobraźni rozkochiwałam się codziennie inaczej, codziennie w kim innym i z innego powodu. Zdawało mi się, że zbieram farby i kształty oderwane, ziarnka piasku srebra i złota, z których kiedyś najdoskonalszy jakiś posąg się odleje. Zbierałam, czekałam, i dziś czekam jeszcze. Nie są to już owe mrzonki efemerydalne, znajome ci niegdyś, któreby właściwiej nazwiskiem rzeczy, jak imieniem człowieka oznaczyć się dały, skrzypace, wionoczelca, poemacik, głowa z Rembrandta obrazu i tym podobne przedmioty; nie, gorzej daleko, to są trzy wyraźne postacie, które, jak trzy błędne ogniki po manowcach mnie wodzą. Urszulko, ty mi chyba stanowczo powiesz: którą z nich kocham prawdziwie?

— A to istotnie osobliwy na mnie wkładasz obowiązek! Nigdy nie chciałam wierzyć temu, że by którakolwiek kobieta mogła nie wiedzieć, w kim jest zakochaną.

— Bo doctissima na drukowane książki tylko, a nie na świat, patrzyła. Przecież to zwykła wszystkich nieomal historia. Gdyby kobiety wiedziały z pewnością w kim się kochają, ileż zawodów, nieszcześć, zgorznień oszczędziłyby sobie! Lecz nie traćmy czasu na sprzeczki: ja nie wiem — i koniec

— Jestże to podobnem, Augusto?

— Przysięgam ci, jest najpodobniejszym, moja droga. Wszakże bogata się urodziłam — oh! fatalnie bogata — i milionami, które mi się na nie dobrego nie przydadzą, i różnorodnością władz natury mojej. Każda władza osobno wzięta, mogłaby całemu życiu innej kobiety wystarczyć, a wszystkie razem w jedną indywidualność połączone, płaczą mi tylko obecność i ciągłym zaniepokojeniem mej przyszłości grożą. Po każdej stronie losu — zbytek w ubóstwo przechodzący. Gdybym miała parę tysięcy własną pracą zarobionego dochodu, swobodna jak ptaszek, rozrządzałabym wszystkimi zdarzeniami mego życia, mogłabym zawsze rok przeciw godzinie szczęścia stawić: wszystkie lata rzucić w jaką nadzieję, w jaki zamiar, w jakie poświęcenie; dzisiaj mój posąg, moje dobra i listy zastawne przykuwają mię do jarzma najnieznośniejszych zwyczajów, ostrożności, kłamstw, nudów i próżniactwa. Taksamo, gdybym miała pod jednym tylko kierunkiem rozwinięte zdolności, prędkobym dla nich zastosowanie znalazła. Niechże która inna kobieta, prawdziwie planetarnej duszy i ślicznie bluszczonej myśli — taka Aldona naprzykład, co sobie nie wyobrazić nie umie: „gdzie-to ma lecieć, po jakie rozkosze — kto poznał Boga wielkiego na niebie i kochał męża wielkiego na ziemi...“ Taka więc niech spotka męża wielkiego na ziemi — męża rzymskiego hartu a rodzi-

mej cnoty—pięknego, jak na medal, czystego, jak na ofiarę ubłagania, silnego, jak na zwalczenie piekła. Wszakże dość już będzie dla niej: wielbić, zachwycać się, błyszczyć w świetle jego promieni. I cóż, Urszulko? mnie to nie wystarcza. Prawda, że się garnę pokornie ku jasności słonecznej—ale poza tem, stokroć świętem, uczuciem entuzjazmu odzywa się drugie, właściwsze jeszcze kobiecie, uczucie—odzywa się potrzeba uszczęśliwienia wybranych swoich. Mistrz przewodnik wszystko mi daje, wszystko mi objawia, ciągle mnie wspiera—lecz ja nawzajem chciałabym udarowywać, objawiać i wspierać. Czuję w sobie jakieś żywioły, jakieś siły na nic nie przydatne dla orla ideałów moich, lecz, mogące zbawić tęsznego w niskim gniazdeczku kolibra. Wierz mi, Urszulo, i to jest niewyczerpiętym pociech, rozrzewnień pięknych wzruszeń źródłem, kiedy się trzyma jakby w rękę swoim cały los, całą duszę czyjąś, kiedy się ma kogo tkliwym otoczyć staraniem, macierzyńską przeciw złemu bronić opieką, wszystkimi skarbami na drogę ku dobremu obdarzać—kiedy się go może lajać, chwalić, zasmucać, rozradowywać, wtajemniczać we wszelkie piękne życia i uczuć ludzkich misterye [tak]. Ja myślę, zety, Urszulko, najłatwiej powinienabyś właśnie zrozumieć piękność tego stosunku.

— Dla siebie niekoniecznie; a jednak tobie ponobym i radziła ograniczyć nim całą akcyę układanego w twej wyobraźni dramatu. Oile mogłam poznać, zbyt jesteś dumną, zbyt wymagającą, żeby uwielbienie dało się z epizodu w ciąg i treść dzieła zamienić: tobie na okupienie zbyt-ków różnogatunkowych, przedewszystkiem pierwiastek dobroci trzeba z uspienia obudzić. Poprzestań na roli opiekuńczej, Augusto.

— Zapominasz, że nie mój własny wybór, ale wprost fatum jakieś greckie kazało mi inną prócz tego na świecie odgrywać: jestem piękna, jestem młoda.

I niby na udowodnienie tych wyrazów posągowa Augusta, niespodzianym, a silnym i zręcznym ruchem, jak z zasadzki wyskakująca trochę za łupem, trochę za swawolą, tygrysiem, wyskoczyła ku środkowi pokoju, otworzyła pianino i, uderzając kilka dziwacznych akkordów, zaczęła na dziwaczniejszą jeszcze, w tej chwili, jak widać, pomyślaną nutę, pełnym swoim śpiewać głosem.

A znasz ty kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
A znaszże ty
Dwóch spojrzeń błyskawice,
Goretszej krwi
Rumieńcem wzbiegłe lice?
A znaszże ty
Chwil przelotnych wrażenia—
Jak serce drży,
Jak w głosie drżą westchnienia?
A znaszże ty
Młodości wir zuchwały,
Jawy i sny,
Promienie, wichry, szaly—
Czy znasz je ty?

I nagle, jak stuknęła wszystkimi palcami w jakieś dziesięć osobliwie ze sobą pomieszanych klawiszów, tak się zdawało, że struny powinny były pęknąć; widać jednak, przezorny Pleyel na lisztowskie uderzenia ich siłę obliczył.

— No, moja Urszulo—rzekła nakoniec, jedną ręką jeszcze o pianino wsparta, ale całą swoją majestatyczną, wyprostowaną postawą ku siedzącej odwrócona—już ci ostatni wyraz tej zagadki powiedziałam; twoja teraz kolej—rozwiązuj!

— A ja właśnie teraz, kiedy mi zaśpiewałaś, znowu nic nie rozumiem o co ci chodzi—z uśmiechem odparła zapytywana Urszula.—Zły sposób wybrałaś może: bo to trzeba ci wiedzieć, Guciu, że w twoim śpiewie, nie jeden głos, ale ze sto in-

nych głosów, czasem głosy mojej najcichszej myśli słyszę—jakże chcesz, żebym potem wątpliwość twego życia z tą swoją własną wątpliwością zmieszane rozwiązywała! Na ten raz piosenka niezupełnie była w moim tonie, innych tonów przecież tak wiele, a są między nimi i takie i takie... że doprawdy boję się pomyśleć, boję się moją Najjaśniejszą rozgniewać—a wolniej domawiając tych ostatnich wyrazów, Urszula przeciągłem, więcej jednak opamiętywajacem, niż badawczem spojrzeniem w oczy Augusty patrzyła.

Dumna piękność wstrząsnęła głową, jakgdyby z niej zaciętką chciała zrzucić koronę.

— I ty się nie mylisz i ja się nie gniewam—przemówiła po chwili bardzo stanowczym głosem. Dla tego się urodziłaś, żebym choć z tobą jedną na tym Bożym świecie bez obłudy i kłamstwa wszystko co myślę wypowiedzieć mogła. Spełnijże swoje przeznaczenie—bardzo cię proszę, nie narzucaj mi żadnych obwiniań bawelnianych. Kogo ja kocham? wyrokuj. Czy Samuela przez uwielbienie, czy Morysia przez opiekę, czy tego szatana Seweryna przez pokusę? I domawiając tych słów znowu się jaknajpokorniej na otomauce wyciągnęła.

— Wyrokuję sumiennie, Augusto: żadnego z nich nie kochasz—rzekła pół-uroczytym, pół-zartobliwym głosem Urszula.

— A to zabawna historia!

— Rzeczywiście, dla ciebie zabawna tylko historia, ale nie miłość, Guciu moja. Gdybyś kochała, nie miałabyś ani czasu, ani siły na takie subtelne rozróżnienia,—bo miłość to chwila doskonałej właśnie, zupełnej łączności wszystkich władz duszy naszej i wszystkich zmysłów naszego ciała; gdyby miłość zostawiła ci w sercu jedno uczucie niezgarnięte ku sobie, w głowie myśl jedną przez siebie nie natchnioną, w nerwach choć jedno obce wrażenie swoim zadrgnięcie; a toby nie była miłością, Augusto. Oj, dziecko, dziecko z ciebie tajemnic życia nieświadome! Co ty mistrza z kolibrem twoim, kolibra z szatanem pokusy rozdzielasz? Ukochany jest wszystkim tobą, jest mistrzem i pisklęciem, jest Adamem i szatanem twojego raj. Słuchasz, go jak przeznaczenia; staraniem i tkliwością go otaczasz, jak Benjamina duszy twojej; szalejesz nim, upajasz się, jak wyziewami delfickiej jaskini siedzącą na trójnogu kapłanka. Nie lękaj się, żeby ci wtenczas jakieś nieużytkowane fantazyje o inny przedmiot zajęcia się dopominały; stokroć prędzej ty sama poczujesz, że jest ciębie zamało, że jest w tobie za ubogo, że jest od ciebie niewystarczająco jeszcze. Bo miłość chłonie, miłość ogarnia, miłość przepęnia i zniestwia zarazem; gdyby trwać mogła, gdyby się nie zmieniała, nie psuła—toby chyba aż źle było... ludzie-by zapomnieli, że: „Nie będziesz miał cudzych Bogów przede mną.“

— A widzisz, jak ja słusznie przeczułam, że mi wiele rzeczy nowych o tym przedmiocie powiesz! Kiedyś zaczęła, to dokończ, Urszulko, wytlómacz: dlaczego ty sobie przypominałaś co właśnie, według słów twoich, ludzie zapomnieć-by mogli.

— Dlaczego? Dlatego, że każdy chcąc czy nie chcąc, swoim czy cudzym grzechem, katastrofą czy powolnym cierpieniem, utratą złudzeń czy ich wybujałością, na grobie jakimś lub na nieprzejrzanym rozstania obszarach, każdy prędzej czy później przypomnieć sobie musi. Tak Pan chciał, tak śludzy czynią, tak Opatrzność rozrządziła, tak się ludziom dzieje.

— Nie uciekajże mi w omówienia, Urszulko—powiedz szczerze: z jakich wypadków chęć Pana i rozrządzenie Opatrzności pojąć mogłaś?

— Ze wszystkich, które się tylko przed oczami memi przesuwały.

— Doctissima! takich sekretów gospodarskich, jakie ty zdajesz się posiadać, żaden kalendarz nie uczy; tylko z własnego doświadczenia poznać je trzeba koniecznie.

Alboż się tego wypieram, że z doświadczenia poznałam?

— Kiedy się nie wypierasz, bądźże łaskawa dokładniejszą obdarzyć mię informacją. Usnąłbym nie mogła spokojna, gdybym raz w ogólniku przyjęła tę zasadę, że niema jutra dla chwili

miłości, a dla mnie bez chwili miłości zmartwychwstania nie będzie. Jak to być może prawda z kłamstwa, mądrość z szaleństwa, a cnota z grzechu? Gdzie w tem sens i sprawiedliwość? Dotychczas zdawało mi się, że nieszczęścia gorzkich zawodów tylko nad romansem, to jest nad małoletnością uczuć i pojęć, ciężą. Kto się na mój dawny sposób w rzeczy, a nie w człowieku zakocha, kto pięknie przetańczonemu mazura, jeźdźca na bystrym koniu dobór przedeklamowanych wyrazów, pejzaż otaczający pierwsze spotkanie, a zresztą może ładny koczyk i spodziewane krocie intraty w kochanka przeidealizuje—temu się bardzo słusznie pokuta należy; ale tobie, Urszulko, tobie dorosłej sercem i myślą, zkażdę wypadło takiejsame jak lada pensyonarce przechodzić koleje? Czemu ty zbłądzić mogłaś? Czyś zamało kochała?

— Wykochałam całe serce aż do dna; nic mi już dla nikogo wśród ludzi na drugą ofiarę nie zostało.

— Więc może kochałaś trochę za nadto, Urszulko?

— Prawda, że bez targu,—nie umiałabym na łokcie zmierzyć,—ale wiem, że kochałam po granice szaleństwa i hańby: tej linii demarkacyjnej nie przeszedłam.

— To zbłądziłaś wyborem?

— Imnie się tak zdaje—powinłam być wybrać przed urodzeniem twój kolor włosów, twoje oczy i rysy, a ja sobie wzięłam twarz taką pospolitą, oczy takie blade, oczy takie blade, włosy takie wypłowiałe!... No, podziękuj mi, że chociaż starsza, zostawiłam ci ozdobniejszy przydzwiek—podziękuj, bo przecież mogłam wybierać?

— Ach! zapomniałam, że wybór niepodobny, a przecież sama jestem tego zdania—lecz kiedy niepodobny, mój Urszulko, czy nie mogłabyś mi powiedzieć na co się zdadzą ludziom i Bogu te wszystkie zawieruchy? na co te próby daremne?

— Zdadzą się, zdadzą, jak elektryczna burza roślinności. Nie zgadłabyś czasem ile piękna i potęgi w twojej duszy drzemie, nie domyśliłabyś się co to wykonać przedsięwzięć i poświęcić jesteś zdolna, gdybyś na wyłącznym, pośrednim, między samolubstwem a zaparciem się siebie uczuciu wprawy nie nabrała; uczucie później na atomy pryśnie, w najlepszym razie straci tylko swoją podbudzającą własność, spowszednieje—lecz tobie zostanie pamięć jego i zostaną pod jego wpływem nabyte lub rozwinięte zdolności. Wstyd ci będzie dla świętszego słowa, wstyd dla zbawienia i dla Boga w niebie mniej być wylaną, zasobną, gorliwą, jak [tak] nią byłaś dla równego sobie, może nawet drobniejszego od siebie człowieka. Co do mnie przynajmniej z owej elektrycznej burzy młodego wieku tę wielką odniosłam korzyść, że umiem na każde pożądanie dobrego i prawdy tak oddać wszystko i tak spokojność, tak los mój narazić, jak niegdyś oddawałam i narażałam za jedną jego radości godzinę.

— Więc prostem porównaniem rzecz tę objaśniając, miłość dla ciebie, moja Urszulko, była tylko przygotowawczą szkołą do wyższego gimnazjum życia, a gimnazjum miało cię przygotować do uniwersytetu cnoty, świętości i t. p. Gdyby jednak porzucić ten pedagogiczny systemat, gdyby zwrócić się do fizjologii roślinnej, czy nie lepiej byłoby gorących krain palmy i nasze własne sosny naśladować? Palmy i sosny wysoko biegną ku niebu; a przecież najwyższy i najświeższy listek ich korony tasama wilgoć karmi, którą najniższa ich gałązka z łona matki ziemi wyciągnęła—czemuż serce ludzkie—a nadewszystko czemu twoje serce, nie uniosło w koronę swojej świętości, tych samych żywiołów, którymi się w czasie wzrostu swego zasilało?

— Co za botaniczne porównanie! ja nawzajem daleko prostszem je objaśniając, muszę ci powiedzieć, moja Guciu, że nie zaród uczucia, nie żywioł z natury wyciągnięty, na dalszych stopniach udoskonalenia zmieniamy, ale zmieniamy przedmioty żywiołowi owemu posługujące; tak jak ty, najjaśniejsza, nie zmieniałaś swoich kształtnych nóżek od dziesiątego roku, dajmy na to, ale zmieniłaś miarę ich obuwia, i chociaż nóżki zawsze są bardzo drobne, nie mogłabyś na nie włożyć ówczesnych pantofelków.

— Oh! szkaradna pedantka! pierwszą miłość swoją staremi pantoflami nazywa.

— Dla większego „effektu“ mogłaś jeszcze dodać pierwszą i ostatnią jedyną, wyłączną miłość swoją.

— Tem gorzej: muszę koniecznie pantofelkom na wszystkie strony się przypatrzeć — podaj mi je natychmiast.

— Zaczekaj — może kiedy przyjdzie mi o nich w liście co napisać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LIII.

Teatr Rozmaitości: **Bezczelni**, k. medya w 5 ciał aktach, *Emila Augiera*, tłumaczona z francuzkiego.

Lepiej późno niż nigdy. *Les affrontés* ukazali się nam dopiero we dwadzieścia pięć lat po pierwszym powodzeniu doznanem w „Comédie française“; ale mimo to powitaliśmy ich z ciekawością i wysłuchali z zajęciem. Sztuce tej nie odejmuje żywotności, epoka Ludwika Filipa, którą autor podsunął pod udramatyzowane wykładki. Prawda, że czasy to już dalekie, ale Augier umiał je zbliżyć do nas przez rodzaj rozwinętych tematów etycznych i żywą a silną charakterystykę ludzi w owych czasach działających. Komedia augierowska dzięki temu nie traci stęchłości, nawet dla tej normalnej, nie wyborowej, publiczności, na jaką teatr wszędzie, i u nas, i w szczęśliwiej postawionych ogniskach sztuki scenicznej, oglądać się zawsze musi i powinien. Komedia jest dobra, a na dobre zawsze czas.

Jedne epoki, jedne momenta dziejowe więcej sprzyjają upadkowi charakterów, niż inne; ale człowiek gromadny jest zawsze tensam w swej machinie psychicznej, ludzie z miedzianymi czołami, — a mówiąc wyrazem nieparlamentarnym — szubrawcy, zaślaniać będą zawsze słońce uczciwym, ale słabszym w ramionach — i w łokciach. Takich właśnie beczelnych w okowach satyry wyprowadził na scenę Augier. Należąc wszyscy do jednego rodzaju, różnią się oni pomiędzy sobą gatunkiem, pochodzeniem i esencjonalnością etyczną. Najbardziej zgęszczoną beczelnością posiada Vernouillet, spekulant, chciwy łapigrosz, który miał już sposobność wejść w bliższe stosunki z sądem policyi poprawczej. Nie przeszkadza mu to jednak zaraz potem wkupywać się napowrót w łaski społeczeństwa, na które się zaczął, aby je obedrzeć i wyssać, oile się da. Osmielony pobbazaniem zaczyna pod formami uczciwości piąć się coraz wyżej po szczeblach szubrawstwa. Zakupuje dziennik *Sumienie publiczne* i używa go za narzędzie do robienia interesów na łatwowierności ludzkiej. Z dziennikarstwem przedajnym i kłamliwym łączy spekulacje giełdowe. Ale to mu nie wystarcza. Jakżeby taki łotr, gładki i zręczny nie miał zrobić kariery w związku małżeńskim? Toć to droga tak łatwa, że każdy z tych panów w urzędowym wieku do małżeństwa — przedewszystkiem myśli o złapaniu jakiego posagu. Zasadza się też i Vernouillet na pieniądze papy Charriera, beczelnie ujmując go obietnicą kandydatury do Izb prawodawczych. Nawet zniewaga publiczna i przypomnienie styczności z kryminałem nie zdoła tego artysty zbić z tropu; a gdy brat upatrzonyj ofiary zagradza mu drogę, niegodziwiec używa przeciwko niemu broni straszliwej: mówi mu, że własny jego ojciec, bankier Charrier, nie lepszą drogą do majątku doszedł. W tej komedii, która się życiem nazywa, znaliśmy sami wielu takich beczelnych, tylko w mniejszym zakresie, z mniejszymi wypadkami. Nawet pogarda ludzka nie odejmowała im pewności siebie.

Vernouilletowi ułatwia zadanie rozbójnicze pojedynki, do którego stanął i z którego wyszedł

draśnięty, z ręką na temblaku. Widok takiej ręki, nawet niegodziwej, wywiera zawsze pewien urok. Człowiek nie przestanie być nigdy bałwochwałcą pozorów. Do honoru wystarcza tłumowi rozprawa honorowa — a każda rana posiada naturalny swój przywilej. Nawet zacny, dzielny chłopak, syn Charriera, musi uszanować ten stan patologiczny, zresztą bardzo niewinny, beczelnego spekulanta. Ostatecznie przecież Vernouillet nie dostaje posażnej jedynaczki i scenę, na której stał się już niemożliwym, opuszcza dla innej, na której z pewnością będzie umiał stać się pożądanym.

Drugim okazem beczelności jest współpracownik Vernouilleta, Giboyer, dziennikarz-najemnik: zbir i nierządnic w jednej osobie — zdolności duże, w formie myśli i słowa niekiedy nawet potęga, ale charakter zmiażdżony przez żądę używania i próżniactwo, umysł fałujący na wszystkie strony, bez głębi — z powierzchwnością tylko demokratyczną, bardzo nawet czerwoną. Jest to cygan literacki najgorszego gatunku. Do pojedynku nadstawia on pierś bez namysłu i rozmysłu, — szczerze, za pierwszym popędem, wart jest zatem więcej od Vernouilleta, który na rozprawie chce tylko zrobić dobry interes. Giboyer w komedii nie działa, przesuwa się przez nią jedynie jako ciekawy, bardzo zajmujący okaz. I takich beczelnych w publistyce nie braknie na świecie. Byli oni nieszczęśliwym Francuzi za Drugiego Cesarstwa, dziś, za rzeczypospolitej nie napawają jej rozkoszą. Żywioty psychologiczne tej postaci w wyższym natężeniu zebrał i uosobił Augier w komedii o rok od *Bezczelnych* późniejszej, *Le fils de Giboyer*, napisanej w roku 1861, a grywanej u nas.

Trzecim beczelnym jest ów bankier Charrier, na którego majątek wziął się Vernouillet. Jest on dzisiaj niby uczciwym człowiekiem, nie kradnie, nie rozbija, ale niegdyś był także szubrawcem. Czas i powodzenie uczyniły beczelność zbyteczną; ale czas też i powodzenie z pierwiastków jej rozwinęły zupełną płytkość charakteru, brak zasad, filisterską małość i nadętość i żądę łatwej wielkości w świecie pieniężnym najpospolitsze zjawiska. Stanowczą próbą jego wartości jest zachowanie się wobec syna po wyjawieniu przez Vernouilleta tajemnicy z przeszłości.

A do jakiej kategorii zaliczyć margrabinę d'Auberive, która porzuci męża i niebacząc na opinię, kapitały uczucia swego umieszcza ko rzystnie na sercu zacnego, prawego, ale trochę mazgajowatego dziennikarza de Sergine? Nie jest ona wręcz występna; sama jednak wytworzyła sobie położenie, w którym musi nadrabiać miłą, osłaniać pozorami, udawać uczciwą. *Principium movens* jej charakteru, a raczej niecharakteru, leży w lekkomyślności; ale umysł jej jest zanadto bystrym, aby, znajdując się ciągle w fałszywym położeniu i odczuwając je ustawicznie, mógł odtrącić od siebie broń beczelności — nieprzekraczającej jednak pewnej miary.

Czynny dodatni charakter w sztuce jest tylko jeden, ale wysokiej wartości. Mało komedyo-pisarzów zdobyło się na takiego Henryka Charriera. Przyjemne, dobre, orzeźwiająca wspomnienie zostawia ta szlachetna, przedsiębiorcza, praktyczna — a z zupełną swobodą wewnętrzną przejawiająca się młodość. Tacy młodzieńcy dojrzejają na ludzi i ojezyzna ma z nich kiedyś pociechę. Kiedy taki Henryk rwie się do wojska, społeczeństwo jego pewnym być może, iż nie będzie próżno pobrzękiwał pałaszem. Pójdzie on pierwszy na mordercze ataki, a ostatni pod krajowi rachunek swych zasług. Henryk z r. 1845 nie uczestniczył pewno w Drugim Grudnia; gdy wrócił z wojska, nie krzychał na zgromadzeniach, aby innych przekrzyczeć i ubiedz w wyścigach do mety szczęśliwego losu; gdy pokochał, to nie dla posagu, ani dla przelotnego kaprysu; gdy sobie byt własny ustalił, gniazdko swoje usłał, nie odgradził się od społeczeństwa, w interesie którego krew przelewał: tworzywo młodości w nim zostało, tylko wola dojrzała już czynny teraz tworzyć z niego będzie. Rzadko postaci młodzieńczej tak szczęście utrafiłonej, napełniającej taką wiarą w świeże, przez błąd i grzech jeszcze niestargane, siły człowieczeństwa.

Antytezą beczelnych są: Henryk Charrier i de Sergine; antytezą całego nowego porewolucyjnego społeczeństwa, w którym beczelność tak łatwo plenić się może, uosobił Augier w mężu margrabiny d'Auberive. Mówi on więcej i rozumuje niż działa, ale nie jest zupełnym automatem: kiedy przychodzi margrabinie z pomocą pieniężną, aby ją uwolnić od podejrzanych usług Vernouilleta, kiedy przypomina, że i on ma serce człowiecze, potrzebuje szczęścia, kiedy ujmując się za krzywdą żony swej, a poznawszy, że nie jest jeszcze kobietą zepsutą, podaje jej ramię, aby go zapewne do śmierci już nie cofnąć — mamy przed sobą żywego człowieka, a nie machinę zegarową nakręcaną przez autora. Jako przeciwstawienie zarozumiałej małości i nieprawej ruchliwości wieku d'Auberive doskonale spełnia rolę podpatrywania i podchwytywania kardynalnych wad i zdawkowych poglądów mieszczaństwa; nawskroś przenika Vernouilleta, wie co trzymać o Charrierze, poznaje się na demokracji i apostołstwie Giboyera — ale gwałtownych walk nie stacza: szarpie tylko podjazdami ironii. Ta ironia jest głównie jego bronią, na nią też artysta sceniczny główny zwrócić powinien uwagę. Augier nie solidaryzuje się z zasadniczym tonem d'Auberive'a, nie uważa dawniejszych porządków społecznych za lepsze od dzisiejszych, ale pozwala mu dostrzegać w dzisiejszych porządkach i dzisiejszych ludziach zło, które rzeczywistość jest złem. Nie miejmy tylko zarozumiałości, że Wieki Nowożytny absolutnie i pod wszelkimi względami lepsze są od Wieków Średnich, lub żeśmy się już zupełnie średniowieczności pozbyli, a pozbywszy się jej zupełnie otworzyliśmy już sobie naocześnie wrota do wszechludzkiego rozwoju, sprawiedliwości i szczęścia. I my mamy swoje przesady, swoje średniowieczności, tylkośmy przedmioty zmienili; typ życia pozostał ten sam.

Palmę wieczoru zdobył p. Prażmowski, jako Henryk Charrier. Z przyjemnością zaznaczyliśmy już na tem miejscu drobne postępy w bar-dzo powolnym rozwoju. Dziś, po Henryku, dotychczasową zdolność możemy już nazwać siłą. Istotnie, p. Prażmowski przeszedł nasze oczekiwania; takiej swobody, żywości, pełności, takiego zrozumienia charakteru i właściwej mu fenomenologii, takiego prawdziwego człowieka — nie pozwalały nam spodziewać się dawniejsze role artysty, ale te, które do wyjątkowo szczytnych zaliczyć należało, tłumaczają nam właśnie wyrobienie się w roli obecnej. P. Leszczyński także wniknął zupełnie w zamiary autora, przyjął dobrą charakterystykę, grał dobrze, niekiedy świetnie; pragnęlibyśmy tylko czuć więcej ironii w rozmowach, więcej pogardy dla tego lichego mieszczaństwa. P. Marcello znakomicie oddała scenę na balu. P. Wiśnowska była bardzo miłą Klementyną. P. Rapacki w Giboyerze umiał sobie zdobyć zasłużone uznanie. Cała taka sztuka była dobrze grana: jeden tylko p. Kotarbiński nie trzymał stroju. Było to jakiegoś niepojęte dla nas nieusposobienie, a powtarzało się przez dwa wieczory.

Stanisław Krzemiński.

Kronika działalności kobiecej.

— W 1880 r. grono pań wyznania mojżeszowego zamieszkałych w Mińsku Litewskim powzięło dobroczynną myśl założenia szkoły rzemiosł dla ubogich chłopców swego wyznania. Po załatwieniu przepisów obowiązujących i zebraniu sposobem składek potrzebnego funduszu została otworzona szkoła o trzech klassach, odpowiadających trzem pierwszym klassom gimnazjalnym, i posiadająca obok tego dla nauki rzemiosł kilka warsztatów stolarskich, kilka kuźni, ślusarnią. Zarazem utworzyło się stowarzyszenie opieki nad szkołą, którego członkowie, placąc rocznie 12 rs. dostarczali funduszu zapewniającego byt poży-

tecznej instytucji, zyskującej sobie odrazu uznania klas ubogich, dla których też wzniesiona była. Dzieci najbiedniejszej, najciemniejszej ludności żydowskiej, a jak korespondent z miejsca donosi, brudne, odarte, wynędzniałe, a często głodne, zaczęły się tłumnie cisnąć do szkoły, gdzie przecież przyjęła ich na progu miłośnicie wyciągnięta do nich ręka opiekunek, oddając je szkole już schludnie odziane i wyglądające porządnie. Wykazało się zaraz na wstępie, że obok udzielanej nauki, szkoła musi uczniów swoich okrywać i żywić, gdy tymczasem opłata szkolna, rocznie 5 rs., tylko od niewielkiej liczby zamożniejszych pobieraną być mogła, a od kachału miejscowego zaledwie zdołano wyprosić na rzecz szkoły 1,500 rs. Kapitał zapasowy, powstały z kilku drobnych zapisów, był niewielki, a ciężary stosunkowo znaczne, bo oprócz opłaty nauczycieli, między którymi było kilku gimnazjalnych, lokal szkoły zabierał rocznie 1,000 rs. Więc zwrócono się do ogółu swego o pomoc, która została dostarczoną w najpierwotniejszej swej formie. Każda zamożniejsza rodzina żydowska stołuje u siebie codziennie jednego ucznia, mniej zamożne dają innym obiady w kolej, która na każdą co kilka dni przypada, i tym prostym, praktycznym sposobem cel osiągnięty został i można dziś przedstawić szkołę, jako wzór samopomocy, godnej naśladowania.

W ubiegłym roku szkolnym uczęszczało do niej uczniów 400, z których najbiedniejsi znajdowali obok nauki i utrzymanie; ukończyło ją 60, między temi 11 dzieci chrześcijańskich. Czterech zdolniejszych uczniów wysłano kosztem szkoły za granicę dla dalszego kształcenia się w swoim zawodzie. Między najzasłużalszemi opiekunkami szkoły wymienia korespondent p. Weng... Należy tu nadmienić, że takie stołowanie biednych uczni, przy pominając naszych krakowskich żaków, praktykuje się z dawien dawna w Niemczech przy pomocy stowarzyszenia kobiecego: „Stowarzyszenia matek.“

— Za staraniem księżny Marcelliny Czartoryskiej zakłada się w zdrojowisku galicyjskiem Rabka filia szpitala S-go Ludwika w Krakowie. Jest to szpital dla dzieci.

— Hr. Branicka ofiarowała na rzecz Stowarzyszenia opieki nad biednymi matkami i dziećmi 3,000 rs.

— Angielskie dzienniki donoszą o wielkim postępie sprawy głosowania kobiet przy wyborach do Parlamentu. W nowym składzie Izby Gmin 314 członków wyznaje się stronnictwami głosowania kobiet, przytem wydarzyło się w czasie wyborów ubiegłych, że kilka kobiet zostało przypuszczonych do urny wyborczej. Było to bezprawie; bezprawnie stronnicy głosowania kobiecego dopuścili się podstępnej wpisanie nazwisk kobiecych na listy wyborców, i następnie także bezprawnie pozwolono im na głosowanie, w każdym razie rzecz została dokonana i stoi, jako fakt spełniony. Wypadków tych było sześć, z tych trzy nazwiska pierwszych wyborczyń podane przez dzienniki są: Frances Jates, Zuzanna Perx Amaryla Hodge. Łatwo się domyślić, że następnie głosy te zostały unieważnione, jako nielegalne, zaznaczyć należy, że we wszystkich tych wypadkach łamania prawa działało stronnictwo liberalne. Znalazły się jeszcze dwa nazwiska kobiece zapisane na liście wyborców, ale tu wyborczynie: Alicya Lovely i Agara Wade, nie zgłosiły się następnie do urny. W państwie Wielkiej Brytanii, to jest w Anglii, i Szkocji znajduje się obecnie 800,000 kobiet, które według praw ogólnych, byłoby mocne głosować. W Irlandyi znajduje się 60,000 kobiet prowadzących na własną rękę gospodarstwo

rolne i te czują się więcej, niż wszystkie inne, uprawnione do wykonywania tego obywatelskiego prawa, dając to za powód, że pracują na chleb żywiący naród.

— W Ameryce miało miejsce zdarzenie podobne, ale z innym skutkiem. W czasie ostatnich wyborów do rady miejskiej Nowego-Yorku dwie kobiety: Mrs Estera Herrmann, autorka kilku dzieł filantropijnych, i Ada Mitchel, żona wziętego lekarza—potrafiły umieścić nazwiska swoje na liście wyborców, ale gdy przyszło do samej czynności głosowania, urzędnik wykonywujący inspekcję, odsunął je od urny, jako bezprawnie tam zjawione. Amerykanki nie posiadają prawa głosu w Stanach starych i tylko na terytoryach Wyoming i Washington, to jest w ziemiach za ledwie dla cywilizacji otwartych i jeszcze surowych, zostało im to przyznane.

— Liga Pierwiosnka, będąca stowarzyszeniem politycznym kobiet stronnictwa zachowawczego, znalazła zrównoważenie w stowarzyszeniu kobiet stronnictwa liberalnego: *Women's Liberal Association*, które rozgałęziło się po całej Anglii i było bardzo czynnym. Czy tylko zachowa ono ten szlachetny kierunek działania jedynie przez środki szlachetne i godziwie jawne, jak owa liga pierwsza? Niezbyt dawno dziennik londyński: *Morning-Post* wysoce podnosił tę charakterystyczną stronę *Ligi Pierwiosnka*, zaznaczając, że kobieta angielska zasłużyła się swemu krajowi przez wprowadzenie do agitacji wyborczej zasad moralnych, jakich w tym kierunku nie pilnował się dotąd mężczyzna, nawet z kądinąd najuczciwszy. Działał on tak wprawdzie nie sam, ale przez pełnomocników, którym przecież pozwalał dopuszczać się środków mało godziwych. Kobieta wstępując w te szranki okazała się troskliwszą o ideę moralną i poruszyła w ten sposób w opinii kraju kwestyą bardzo ważną etyki publicznej. Piękna, młoda lady Churchill dała sprawie ten impuls szlachetny.

— Znana czytelnikom pisma naszego kobieta lekarz, Helena Prideaux, której imię zostało szczególnie rozślawione przez przyznane jej miejsce lekarza zarządzającego w londyńskim szpitalu dzieci (Paddington Green Children's Hospital), przyczem odniosła zwycięstwo nad dziewiętnastu mężczyznami kandydatami—umarła, w tydzień po objęciu swego urzędowania z dyfteritis. Zaraziła się od dziecka, któremu sama robiła zastrzykiwania, jakie zwykle powierza się felczerom, i które w czasie nocy, jak matka rodzona brała w objęcia, tuląc i uspakajając w cierpieniach. Jest to wzruszająca historia i zarazem ilustracja, która wykazuje, jak kobieta ze swoją kłiwością dla dziecka, jest na miejscu u jego łóża choroby, może w sposób trudny do zastąpienia. Miss Prideaux skończyła najpierw Londyńską Szkołę Medyczną dla kobiet, potem słuchała wykładów na wydziale medycznym Uniwersytetu Londyńskiego i ukończyła je z takim samym, jak szkołę medyczną dla kobiet stopniem naukowym magistra chirurgii i złotym medalem za anatomią. Doktoryzowana w 1883 r., wykladała anatomią w szkole medycznej dla kobiet; dnia 21 Listopada roku zeszłego, została lekarzem zarządzającym we wzmiankowanym wyżej szpitalu dzieci, a w d. 28 Listopada zamknęła oczy w d. 3 Grudnia składano ją do grobu. Miała lat dwadzieścia kilka, była rzadkiej piękności i wdzięku, posiadała wysoki talent do muzyki. Obok gry na fortepianie, grała na harfie. Pochodziła z rodu francuzkich Hugonotów, przesiedlonych do Anglii po odwołaniu Edyktu Nantejskiego.

Na miejsce miss Prideaux zgłosiło się obok kilku kandydatów, dziewięć kandydatek, rezultat jeszcze nam niewiadomy. Notowanie pojedyn-

nych faktów w postępie tak kobiecych studyów medycznych, jak praktyki lekarskiej, zdaje nam się obecnie rzeczą mało potrzebną z powodu, że oprócz Ameryki, niemal wszystkie państwa Europejskie: Anglia, Francya, Belgia, Szwajcarya, Niemcy, Włochy, Hiszpania, Szwecya, Holandia, otworzyły kobiecie wolny przystęp tak do nauki medycyny, jak i praktykowania jej, zajmowania odpowiednich urzędów lekarskich. Rzecz weszła już zatem w stadium utartego ruchu spraw, bezspornie pełniących się na świecie, nie zaś tych faktów wyjątkowych, które jako zjawiska pewnego kierunku, interesują i są pouczające. Obecnie przy naszym poglądzie na kobiecość i naukę kobiety, niezmiernie więcej zajmuje, bo więcej znaczy, wiadomość o takiej naprzykład wyższej szkole dla kobiet, jak: amerykańskie: „Vassar College“, angielskie „Girton College“, „Women's School of Medicine“, Paryżskie „Lyceum Fenelona“, Berlińskie „Wiktorya-Lyceum.“ Kobieta pragnąca nauki wyższej, powinna dostać od społeczeństwa szkołę własną, bo jako obywatelka swego kraju ma do niej prawo—ma prawo, aby się mogła uczyć i rozwijać według kobiecych swych odrębności, tak natury, jak przeznaczeń życiowych,—aby mogła, według określenia Zmichowskiej: „ubiedz na odległość przestrzeń równą, ale drogą inną.“ Droga ta równoległa, ale odmienną być potrzebuje; państwa nie brały dotychczas w rachunek, tej umysłowej potrzeby kobiecej, ale dziś już się tak dzieć zaczyna i to jest w rozwoju tak zwanej kwestyi kobiecej postępdobry! Dobrym on nie jest, bo nie jest prawidłowym, do kształcenia doskonałej kobiecości dążącym, gdy kobieta wychowuje się w obyczaju męzkim. Jak nic nie może zatrzeć i nie zatrzeć różnicy w przeznaczeniach, tak nie może, nie powinno się zacierać różnic w wychowaniu, w moralnem i umysłowem kształceniu kobiety.

— Klęska cholery w Hiszpanii wywołała tam podobnie, jak poprzednio we Francyi szlachetną ofiarniczość kobiety. We wsi Valpalmor, w okolicach Saragosa nauczyciel wiejski i jego żona zachorowali na cholere i zostali opuszczeni od wszystkich, tylko jedna dziewczyna wiejska, Concha Jueva, została przy ich łóżu, pomagając lekarzowi i księdzu w ratunku, a potem do chrześcijańskiego zwłok pogrzebu. Wkrótce ojciec jej i matka ulegli zarazie, i tu była to jedyna ratująca ich istota, tak jak dalej trojga rodzeństwa i starej babki. Rodzice i dwóch braci umarło, i ona sama oblekła ich na śmierć, sama zaniosła ciała na cmentarz. Lekarz rozgłosił heroiczną odwagę dziewczyny, której jeszcze król Alfons przyznał, a obecnie królowa regentka przysłała, hiszpański order zasługi. Królowa Krystyna dołączyła z własnej swej szkatuły dość znaczną sumę, aby dziewczyna, która jest jeszcze bardzo młoda, mogła otrzymać wyższą naukę, oraz środki do życia ze starą babką i małym dziećciem, siostrą, których opiekunką Concha Jueva zainstalowała się sama z mocy miłości swojej i jej praw.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Pogawędka. — Ciężkie czasy, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Ulotne strofy, wyjątki, poeta, przez M. I. — Gniew Boży, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Biała róża, (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — Przegląd mód. — 9 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Января 1886 года.